



MROČNIE
SERIA 4



MARCIN
WROŃSKI
kino Venus





Marcin Wroński (ur. 1972) – w latach 90. związany z trzecim obiegiem literackim – publikował m.in. w artzinach „Lampa i Iskra Boża”, „Mała Ulicznica” i „Brytan OD NOWA”. Zadebiutował zbiorem opowiadań *Udo Pani Nocy* (1992), a wkrótce potem ukazała się jego pijacko-przygodowa mikropowieść *Obsesyjny motyw babiego lata* (1994). Tworzył też piosenki i skecze dla prowadzonego przez siebie kabaretu „Osoby o Nieustalonej Tożsamości”, był felietonistą i dziennikarzem radiowym, pracował jako nauczyciel, pisał książki dla dzieci. **W 2007 roku opublikował pierwszy kryminał z serii o komisarzu Maciejewskim, *Morderstwo pod cenzurą*, a rok później kolejny – *Kino Venus*. Wydawnictwo W.A.B. wznawia oba te tytuły, w 2011 opublikuje też trzeci tom cyklu, *A na imię jej będzie Aniela*.** Marcin Wroński ostatnio wydał głośny thriller *Officium Secretum. Pies Pański* (W.A.B. 2010); obecnie pracuje nad czwartym tomem z serii o Maciejewskim.

Strona autorska:

www.marcinwronski.art.pl





GIANRICO CAROFIGLIO
Świadek mimo woli
Z zamkniętymi oczami
Ponad wszelką wątpliwość

TADEUSZ CEGIELSKI
Morderstwo w alei Róż

MARIUSZ CZUBAJ
21:37

RYSZARD ĆWIRLEJ
Ręczna robota

MARTHA GRIMES
Hotel Paradise
Stacja Cold Flat Junction
Hotel Belle Rouen
Pod Huncwotem
Pod Przechytrzonym Lisem
Pod Anodynowym Naszyjnikiem
Pod Zawianym Kaczorem

WIKTOR HAGEN
Granatowa krew

ARNALDUR INDRIDASON
W bagnie
Grobową ciszą

JEAN-CLAUDE IZZO
Total Cheops
Szurmo
Solea

TOMASZ KONATKOWSKI
Przystanek Śmierć
Wilcza wyspa
Nie ma takiego miasta

MAREK KRAJEWSKI
Widma w mieście Breslau
Festung Breslau
Dżuma w Breslau
Głowa Minotaura

MAREK KRAJEWSKI, MARIUSZ CZUBAJ
Aleja samobójców
Róże cmentarne

JENS LAPIDUS
Szybki cash

HENNING MANKELL
Morderca bez twarzy
Psy z Rygi
Biała lwica
>>>

Mężczyzna, który się uśmiechał
Fałszywy trop
Pięta kobieta
O krok
Zapora
Chirńczyk
Niespokojny człowiek

ALEKSANDRA MARININA
Kolacja z zabójcą
Gra na cudzym boisku
Ukradziony sen
Złowroga pętla
Śmierć i trochę miłości
Męskie gry
Zabójca mimo woli
Plotki giną pierwsze
Czarna lista

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI
Uwikłanie

DENISE MINA
Pole krwi
Martwa godzina
Ostatnie tchnienie

MARTA MIZURO, ROBERT OSTASZEWSKI
Kogo kocham, kogo lubię

KARINA OBARA
Gracze

HEINRICH STEINFEST
Subtelny nos Lilli Steinbeck

JOANNA SZYM CZYK
Ewa i złoty kot

MARCIN WROŃSKI
Morderstwo pod cenzurą
Kino Venus



MRO CZNA
SERIA

MARCIN
WROŃSKI
kino Venus

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011
Wydanie II poprawione · Warszawa 2011

*Prolog – Ponad wszelką wątpliwość ustalono
dokładny wygląd Jana Sebastiana Bacha*

lato 1932 roku

Profesor oczekuje panów – oznajmiła z godnością służąca.

Podkomisarz Zygmunt Maciejewski przestąpił próg i podał jej kapelusz. Tajniacy Zielny i Fałniewicz wsunęli się za nim.

Mieszkanie zajmowało całe piętro w jednej z reprezentacyjnych kamienic, przy ulicy Szopena. Wewnątrz było gorąco jak w oranżerii, nawet uliczny upał wydawał się świeżą bryzą przy tych tropikach. Mimo to służąca, stara kobieta wysuszona niczym egipska mumia, była ubrana w nieskazitelny czarny kostium zapięty pod samą szyję i równie pogrzebowe pończochy. Ruszyła w stronę gabinetu, by zaanonsować przybyłych.

Każdy fragment ściany, i to już w korytarzu, pokrywały gabloty z egzotycznymi motylami, żukami niemal wielkości dłoni, z gałęzi zawieszonych pod sufitem spoglądał szklanymi oczami wypchany ocelot. Tajniacy byli tu pierwszy raz, więc rozglądali się z dziwnymi minami po tym panoptikum, jakiego pewnie zazdrościło profesorowi niejedno muzeum przyrodnicze. Fałniewicz z zażenowaniem spojrzął na owiniętą gazetą słoń, który trzymał w rękach.

– Pan profesor prosi do gabinetu – głosem dworskiego mistrza ceremonii powiedziała służąca.

Weszli do zalanego słońcem pokoju pełnego książek, zagranicznych pism naukowych, map i starych fotografii z Syberii, Egiptu, chyba też z Ameryki Południowej. W kącie piętrzyły się roczniki „Wiedzy i Życia” i „Przeglądu Geograficznego”, obok jeszcze wyższa żółta piramida magazynów „National Geographic”, co Zyga od razu zauważył, poukładanych chronologicznie, poczynawszy od 1888. Na ogromnym, mahoniowym biurku leżało pełno papierów i otwartych książek, zupełnie jak u podkomisarza, ale wszystko miało tam swoje miejsce, czuło się przerażający porządek rodem chyba z systematyki Linneusza. Na ścianach, zamknięta w szklanych trumnach, wisiała reszta kolekcji insektów z całego świata. Jednakże nie wszystkie były martwe. W przeszkłonych gablotach, na wprost okna pełzały tłuste gąsienice, w innych profesor trzymał zamarte w oczekiwaniu poczwarki.

Dryja, pulchny, siwy staruszek, na widok gości wstał zza biurka.

Maciejewski utkwiał spojrzenie w obłym przedmiocie wielkości niedużego arbuza, który spoczywał na blacie przykryty kawałkiem płótna. Można byłoby wziąć go za szklaną kulę jasnovidza, gdyby nie naukowy wystrój gabinetu.

– Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas – skłonił się lekko podkomisarz. – Pozwoli pan profesor, to moi współpracownicy: starszy przodownik Tadeusz Zielny i przodownik Witold Fałniewicz.

– Dryja jestem – odparł bezpośrednio staruszek i rzucił okiem na słój wyższego z tajniaków. – Panowie znów coś mi przynieśli?

– Tak... w pewnym sensie... – bąknął Fałniewicz. – To miłe, że zechciał pan wyświadczyć nam przysługę. Dla pana. – Odwinął gazetę. – Chyba rzadki, pewnie paż królowej...

Przyrodnik zerknął przez szkło na kolorowego motyla, który zobaczywszy światło, podjął próbę oswobodzenia się z aresztu.

– Przeciwnie, dość pospolity, choć ładny. *Aglais urticae*. No cóż, miło się przekonać, że i policjanci popełniają czasem omyłki – powiedział z uśmiechem Dryja. – Pan interesuje się fauną?

– Mam w domu złote rybki. Rasowe welony – podkreślił tajniak, ocierając chustką pot z czoła.

– Właśnie, właśnie – pokiwał głową profesor – namacalny dowód słuszności teorii Darwina. Dawni Chińczycy nie mieli o niej pojęcia, a proszę, jak pokierowali ewolucją zwykłego karasia. Dobrze, dobrze, nie będę panów zamęczał wywodami starego belfra, pewnie przyszlście po to? – Wskazał przykryty szmatką kształt.

Zielny wyraźnie się ożywił i odruchowo przygłodził włosy.

– Istotnie. – Maciejewski odetchnął. – Czy udało się panu profesorowi...?

– Czy się udało? Skąd mogę wiedzieć? Ja tylko zrobiłem, co było w mojej mocy. Skoro Komenda Główna i dwóch lekarzy sądowych stwierdziło, iż nie jest w stanie orzec nic pewnego na podstawie tych szczątków... Ja jestem przecież tylko siwy fantasta, który dla rozrywki naucza historii naturalnej niewinne jeszcze na ogół dziewczęta. Otóż w pierwszej chwili myślałem, że to czaszka goryla albo że to był *Homo neanderthalensis*, ale na szczęście dla panów, miałem więcej wolnego czasu niż moi wiecznie zajęci uczeni koledzy.

Profesor stał oparty o kant biurka i mówił z kąśliwym uśmiechem. Zdawał się zupełnie nie dostrzegać zniecierpliwionej miny Zielnego ani że pozostali dwaj śledczy

coraz częściej ocierają pot z twarzy. Już sięgał po tkaninę przykrywającą tak interesujący wszystkich obiekt, lecz przypomniał sobie coś jeszcze i cofnął rękę.

– Właśnie, właśnie, biorąc pod uwagę specyfikę zawodu panów, muszę wyraźnie podkreślić, że rekonstrukcja twarzy na podstawie czaszki to wciąż w większej mierze twórczość artystyczna niż prawdziwa nauka. Istotnie, w 1895 roku pewnemu Szwajcarowi wydawało się, iż oto ponad wszelką wątpliwość ustalił dokładny wygląd Jana Sebastiana Bacha. Istotnie, wielki brytyjski antropolog, profesor Brash, pracuje właśnie nad tak zwaną metodą superprojekcyjną, ale i ona na nic się zda, gdy nie dysponujemy dla porównania zdjęciem przedśmiertnym. Podobnież Sowietci czynią pewne kroki w udoskonaleniu metody plastycznej, tyle że Stalin, niestety, nie był uprzejmy odpowiadać na moje listy. – Dryja zaśmiał się z własnego dowcipu. – Tak że podsumowując, panowie, zrobiłem wszystko, co potrafiłem, jednak za zgodność moich wyników ze stanem faktycznym...

Nie dokończył, bo służąca weszła z tacą, na której stał porcelanowy imbryk i cztery niemal mikroskopijne filiżaneczki. Zatrzymała się obok biurka, szukając wzrokiem wolnego miejsca.

– Już, już, stary bałaganiarz ze mnie – uśmiechnął się profesor.

Przesunął kilka książek i zamknął atlas anatomiczny. Wielkie tomiszcze z trzaskiem chwyciło między kartki róg płótna przykrywającego kulisty przedmiot. Szmatka spadła na podłogę, odsłaniając glinianą rzeźbę mężczyzny o grubych rysach, małopio agresywnej szczęce i czole niskim jak u goryla.

– To on! – wykrzyknął Zielny, aż służąca niebezpiecznie zatrzęsała tacą. – Takiej mordy się nie zapomina.

– Jestem ogromnie rad, że zdołałem panom pomóc. Pański znajomy – Dryja wskazał głowę na biurku – zapewne się nie obrazi, jeśli jeszcze trochę poczeka. Przyznam się szczerze, że nieszczęśliwie miałem ochotę na zabawę w doktora Watsona, ale nie mogłem odmówić prośbie komisarza Krafta. Ten jego artykuł o Mozarcie! Należę panom herbaty. Trzeba panom wiedzieć, że zielona chińska herbata przedłuża życie, jako że zawiera...

Zielny nie słuchał. Jak dla niego ten wykręcający gębę, gorzki ukrop zawierał pół na pół siano i arszenik. Jednak uprzejmie kiwał głową i popijał małe łyeczki. Najważniejsze, że ktoś dopadł drania, uciął mu ten łeb „homanandentalen-zisa”, nieważne, co to znaczyło. Sprawa była więc już całkiem zamknięta, choć tajniak bardzo żałował, że nie spotkał sukinsyna powtórnie, gdy ten jeszcze żył.

Część pierwsza – wiosna 1931 roku

*Pragnący przeciwdziałać komendant powiatowy
P.P. podjął szereg zdecydowanych kroków*

Dopiero zapadał marcowy zmierzch, a już dwóch facetów kręciło się po Szambelańskiej. Niższy i starannie wygolony wyglądał jak zawodowy fordanser. Co chwilę poprawiał kapelusz albo sprawdzał, czy szalik nie przesłania starannie zawiązanego krawata ze sztucznego jedwabiu. Wyższy, z barami zapaśnika ciągle spoglądał na zegarek z trudem opinający gruby nadgarstek.

Z kamieniczki obok, tej samej, w której brzuchaci urzędnicy magistracy mogli użyć przyjemności z panienką, która „ledwie przed tygodniem skończyła piętnaście lat, panie radco”, wypełzła gęsta woń kapuśniaku. Uliczka była pusta, tylko na rogu, pod niezapaloną jeszcze latarnią stało trzech chłopców z tornistrami.

– Późno się robi, Zielny – zauważył grubym głosem wyższy mężczyzna, znowu zerkając na cyferblat.

– Nie mów, że zmarłeś, Fałniewicz. Sprawdźmy jeszcze na Jezuickiej.

Minęli gotycką bramę i poszli nieco szerszą ulicą Starego Miasta. Elegancik przystanął na chwilę przy kinoteatrze „Wiedza”, ale afisze niezbyt go zainteresowały. Same nieme starocie i jakiś melodramat w jidysz. Skręcili w Dominikańską, a potem w Złotą, wracając w stronę rynku. Na rogu pewien

ende-kamienicznik utrzymywał do niedawna galerię sztuki, ale szybko zrozumiał, że w czasie kryzysu tylko burdele regu-
larnie płacą czynsz. Okna jednak zastali ciemne, najwyraźniej
u Polaka katolika dziwki też jeszcze nie rozpoczęły godzin
urzędowania.

Zielny zerknął na kamienne lwy, które obsiadły gzymsy
na trzech narożnikach budynku, jednak do środka nie za-
glądały.

Prawiczki, uśmiechnął się w duchu tajniak.

Sąsiednia kamienica nie miała już nic wspólnego z lwami
ani z endekiem. Szara i odrapana z miejsca zdradzała właści-
ciela: gminę żydowską, która jakby na złość sąsiadowi za-
miast burdelu ulokowała tu Towarzystwo Pomocy Ubogim
Dziewczętom. Wywiadowcy minęli budynek i znów skiero-
wali się w stronę Jezuickiej. Postawny Fańiewicz wbił ręce
w kieszenie znoszonego płaszcza. Był bez rękawic, a robiło
się chłodno.

– Tam! – syknął nagle jego niższy towarzysz i pierwszy
zerwał się do biegu.

Jeśli nawet ktoś wyglądał przez brudne okna obdrapanych
kamienic, zobaczył tylko dwie ciemne sylwetki i szarpiący się
niewyraźny cień. Za chwilę cała trójka zniknęła w bramie.

– Nie przyszła góra do Mahometa... – sapnął Fańiewicz.

Zielny wprawnie obszukał kieszenie przyciśniętego do ścia-
ny mężczyzny, cofnął się pół kroku i poprawił krawat. Jego
towarzysz puścił klapy płaszcza niewysokiego blondyna i na-
łożył mu kapelusz, który spadł podczas szamotaniny.

– Dawno cię nie było, Księżycki. Nie tęsknisz?

– Miałem przyjść, jak Boga kocham! – Tamten stuknął się
w pierś. – Ale i tak nie ma z czym. Cisza i spokój, panie pro-
downiku.